

Nowe obrządki katastroficzne

20 października 2010

10 października 2009 roku prezydent Lech Kaczyński ratyfikował Traktat lizboński. Nie od razu, bo najpierw zbuntowało mu się wieczne pióro i prezydent złożył podpis piórem podsuniętym mu przez asystującego urzędnika Kancelarii. W innych okolicznościach rocznica tego wydarzenia byłaby z pewnością hucznie obchodzona, jako spełnienie marzeń zwolenników Anschlusu – ale teraz prawie nikt o tym nie pamiętał, bo uwaga opinii publicznej została skierowana na równoległe obrządki żałobne, improwizowane, konkurencyjne liturgie, jakie powoli zaczynają ustalać się w ramach kultu ofiar katastrofy smoleńskiej. Promieniuje on zresztą na kult ofiar innych katastrof, których ostatnio nie brakowało – i katastrofy autobusu pod Berlinem, i mikrobusu pod Drzewicą, gdzie zginęło 18 osób.

Mam oczywiście na myśli wyjazd, a właściwie wylot do Smoleńska grupy rodzin ofiar kwietniowej katastrofy pod przewodnictwem pani prezydentowej Anny Komorowskiej. Wprawdzie każda rodzina ma osobiste powody do uczestnictwa albo w jednym, albo w drugim żałobnym obchodzie, ale niepodobna nie zauważyć, że niezależnie od motywacji osobistych, podstawowym kryterium podziału rodzin ofiar katastrofy z 10 kwietnia jest wiara lub brak wiary w oficjalną, to znaczy – rządowo-salonową wersję przyczyny smoleńskiej katastrofy. Uczestnicy obrządku pod dyktando pani prezydentowej z reguły albo wierzą w wersję oficjalną, albo przynajmniej nie podają jej w wątpliwość, podczas gdy uczestnicy obrządku konkurencyjnego, manifestujący pod Pałacem Namiestnikowskim w Warszawie, co i rusz podnoszą jakieś wątpliwości.

Nawiasem mówiąc, trudno im się dziwić, że nie wierzą w wersję oficjalną, bo tak naprawdę opiera się ona wyłącznie na deklaracji Rosjan, którzy w kilka godzin po katastrofie, to znaczy – zanim jeszcze ktokolwiek przystąpił do zbierania

szczątków samolotu – już wiedzieli, że na pewno nie było żadnej awarii, a winę za katastrofę ponosi „błąd pilota”. Usłużni eksperci tubylczy dodawali do tego własnymi słowami, że pilot musiał znajdować się „pod presją” – wiadomo czyją. Ale z nagrań „czarnych skrzynek”, które nadal znajdują się w posiadaniu strony rosyjskiej, takiego wniosku wyciągnąć nie można, a w każdym razie – z tych kopii, jakie Rosjanie przygotowali na użytek niezależnej prokuratury prywiślińskiej.

W tej sytuacji niezawodny „Głos Cadyka” musi podierać się opowieściami o locie do Tbilisi, snując rozmaite analogie, ale widocznie i w środowiskach odrzucających teorie spiskowe muszą pojawiać się wątpliwości, bo ostatnio występujący w charakterze eksperta płk rezerwy Piotr Łukaszewicz zaprezentował wersję całkiem świeżą (ale wersja całkiem świeża – gołą d...łonią sięść na jeża), że musiało być tak, iż albo za sterami zasiadł sam generał Błasik i podchodząc do lądowania, rozwalił samolot, albo kazał zrobić to kapitanowi Protasiukowi. Skąd takie myśli przychodzą mu do głowy – nie wiadomo, natomiast nietrudno się domyślić, że wychodzą one naprzeciw czemuś, co za komuny nazywało się „społecznym zapotrzebowaniem”. Przypomina to nawet do złudzenia wyjaśnienia ekspertów, którzy pod koniec lat 70. tłumaczyli narodowi, że kartki na cukier i mięso są efektem „trudności wzrostu”, jakie zazwyczaj przeżywa każda z 10 potęg gospodarczych świata, do których wtedy, przynajmniej w telewizji, zaliczała się Polska, więc nie da się ukryć, że nawet dla „młodych, wykształconych, z wielkich miast”, co to, zdawałoby się, łykną każde głupstwo, byle z telewizji – zaczyna to być cokolwiek ambarasujące.

Na domiar złego również złowrogi poseł Macierewicz zadaje rozmaite pytania, które pan prokurator Seremet pomija wzgardliwym milczeniem, bo – powiedzmy sobie szczerze – cóż ma powiedzieć, skoro ruscy szachiści nie dają mu nawet niczego powąchać, a nawet gdyby dali, to przecież i on jest – jak przypomina Ewangelia w przypowieści o rzymskim setniku –

„człowiekiem pod władzą postawionym”? Ten brak pewności sprzyja oczywiście różnym rewelacjom, które pojawiają się i nikną niczym meteory, nie mówiąc już o faktach prasowych, wynalezionych, jak wiadomo, przez „drogiego Bronisława”, czyli nieboszczyka profesora Geremka. Jeden z takich „faktów prasowych” wyprodukowała TVN – jakoby Jarosław Kaczyński, przemawiając podczas manifestacji przed Pałacem Namiestnikowskim, wyraził nadzieję, iż kiedyś do władzy dojdą w Polsce „prawdziwi Polacy”. Wywołało to olbrzymi klangor w środowisku autorytetów moralnych i intelektualistów. Profesorowi Michałowi Głowińskiemu natychmiast skojarzyło się to z rokiem 1933, chociaż urodził się dopiero rok później, więc z roku 1933 jako żywo niczego pamiętać przecież nie może, zaś profesor Marcin Król zażądał postawienia Jarosława Kaczyńskiego przed Trybunałem Stanu. Najwyraźniej musi być przekonany, że Polską powinni rządzić Polacy fałszywi, a może nawet w ogóle nie Polacy, tylko na przykład Niemcy lub Żydzi, natomiast prawdziwi Polacy – w żadnym wypadku. „Lecz tymczasem na mieście inne były już treści”, bo okazało się, że prezes Kaczyński wcale tak nie powiedział, tylko pani Katarzynie Kolendzie-Zaleskiej tak się przywidziało. Szkoda, że nie wyjaśniło się to dopiero po kilku dniach, bo w przeciwnym razie na pewno doczekalibyśmy się w tej kwestii jakiegoś zbawienego pouczenia również od JE abpa Życińskiego, który na dźwięk znajomej trąbki natychmiast dołącza do karnych szeregów – ale trudno – to nie czas na grymasy.

Za to podczas pielgrzymki do Smoleńska nie obyło się bez przygód. Jeden samolot się zepsuł, a potem jeszcze drugi, wskutek czego pielgrzymi, pod przewodnictwem pani prezydentowej Komorowskiej, zostali zmuszeni do przedłużenia obrządków na lotnisku w Witebsku. Czy to przypadek, czy też chodziło o to, by pokazać nawet najmniej spostrzegawczemu obywatelowi, że samoloty latające do Smoleńska, a nawet do Witebska jednak się psują same z siebie, bez żadnej złej intencji ani ze strony prezydenta Komorowskiego, ani ze strony premiera Tuska – tego już pewnie nigdy się nie dowiemy,

zwłaszcza że wszystko zakończyło się na szczęście wesołym oberkiem.

Podobnie w stronę wesołego oberka zmierza wojna z dopalaczami. Najwyraźniej dopalacze ochłonęli z pierwszego zaskoczenia i nacisnęli odpowiednie sprężyny, bo – co zresztą przewidywałem w poprzednim komentarzu – premieru Tusku właśnie postawiły się niezawisłe sądy. To znaczy – na razie jeden, odmawiając aresztowania „króla dopalaczy” w Łodzi Dawida B. – ale to zapowiada, co będzie dalej, zwłaszcza, że w tym pośpiechu, no i oczywiście – z gorliwości inspektor sanitarny zapomniał, że decyzja administracyjna powinna być kierowana do konkretnego adresata, a nie w ogóle, w związku z czym okazała się nieważna! A to ci dopiero siurpryza, a to ci obciach dla demokratycznego państwa prawnego! Teraz dopiero posypią się piękne wyroki! I nie przeszkodzi temu nawet ustawa, jaką uchwaliła zasiadająca w Sejmie banda idiotów – tym razem niemal jednomyślna. W ustawie tej zakazany został obrót wszystkim i substancjami, jakie mogą być używane w charakterze środka odurzającego – a to znaczy, że trzeba by pozamykać np. stacje benzynowe handlujące etyliną, drogerie z „Butaprenem” i innymi klejami, a nawet sklepy spożywcze. Ale czegoż innego można spodziewać się po zgromadzeniu, pod przewodnictwem między innymi pacjenta o ewidentnie zszarpanych nerwach, wicemarszałka Stefana Niesiołowskiego, któremu wszystko kojarzy się z Jarosławem Kaczyńskim, niczym erotomanowi – z kobiecymi organami? Poza tym ta pokazucha to może być początek ostatnich podrygów premiera Tuska, bo jak się posypią piękne wyroki z odszkodowaniami dla dopalaczy, a Trybunał Konstytucyjny zmasakruje mu ustawę, to nawet najgłupszy spośród „młodych, wykształconych, z wielkich miast” zrozumie, że Siły Wyższe przygotowały już polityczną alternatywę.

Autor: Stanisław Michalkiewicz

Źródło: [Goniec](#)